

do
-15%

NAJNOWSZA KOLEKCJA ROWERÓW CUBE

ROWERY HYBRYDOWE / GÓRSKIE / TRIATHLONOWE
TURYSTYCZNE / TREKKINGOWE / CROSSOWE
MIEJSKIE / PRZEŁĄJOWE / DAMSKIE / DZIECIĘCE



od
-20%

ROWERY SZOSOWE CUBE

DAMSKIE / MĘSKIE



do
-25%

WYBRANE MODELE ROWERÓW CUBE

corrateg PASSION
OF CYCLING

TOTALNA WYPRZEDAŻ

NAJLEPSZE MODELE CORRATEG

40% TANIEJ



SPRAWDŹ PEŁNĄ OFERTĘ ROWERÓW CUBE NA WWW.SKITEAM.PL

POZNAŃ: ul. Bułgarska 117a | WROCŁAW: CH Arkady Wrocławskie | KATOWICE: CH 3 Stawy

Tematy tygodnia

- 12 Rafał Kalukin
Zagadka Morawieckiego
15 Sławomir Sierakowski
Trzy lewe ręce

Polityka

- 18 Violetta Krasnowska
Kielbaski przedwyborcze
21 Ivan Krastev, politolog i filozof polityki, o tym, czy Unia obroni praworządność w Polsce

Spółeczeństwo

- 24 Katarzyna Zdanowicz
Nierówna walka z dopalaczami
27 Marcin Kołodziejczyk
Nareszcie swojski kebab
30 Barbara Pietkiewicz
Dlaczego Judyta zabiła Lenę
34 Joanna Cieśla
O nowej koncepcji rodziny

Rynek

- 36 Adam Grzeszak
Nasze drogi znów mają pod górę
39 Alina Białkowska-Guzyńska
Dochód gwarantowany: czy to się da zrobić?

Świat

- 42 Ziemowit Szczerek
ROSJA **Wszyscy populiści zazdroszczą Putinowi**
45 Artur Domoślawski
NIKARAGUA **Daniel Ortega – od buntownika do autokraty**
48 Tomasz Zalewski
USA **Genialna oszustka z Doliny Krzemowej**

Historia

- 50 Andrzej Fedorowicz
Jak Czesi i Słowacy zdobyli Syberię
54 Wiesław Władyka
Maciej Wierzyński: autobiografia polskiego inteligenta

15



Krytyka polityczna lewicy

24



Zabójcze dopalacze

36



Kłody pod drogi

42



Putin zwycięzca

Nauka

- 56 Piotr Majewski
Najdłuższe zaćmienie XXI w.
59 Co tak naprawdę uszczęśliwia ludzi, opowiada prof. **Daniel Gilbert**, psycholog z Harvard University
62 Agnieszka Krzemińska
Zanim wymyślono lodówkę...

Ludzie i style

- 64 Urszula Schwarzenberg-Czerny
Niezwykła kariera jednorozca
68 Rozmowa z **Markiem Priestleyem**, byłym członkiem ekipy serwisowej McLarena, autorem książki „Mechanik”, o zepsuciu Formuły 1

Kultura

- 74 Aleksandra Żelazińska
Instytuty Polskie: kuriozalna polityka kulturalna
77 Justyna Sobolewska
Camus w czasach Obcych
80 Bartek Chaciński
Freaki – pierwowzór hipisów
82 Dorota Szwarcman
Deutsche Grammophon patrzy na Wschód
84 KAWIARNIA LITERACKA
Michał R. Wiśniewski
85 MEA PULPA
Kuby Wojewódzkiego

Na własne oczy

- 92 Tekst i zdjęcia
Janusz Wróblewski
Fårö – ukochna wyspa Bergmana

Stałe rubryki

- 5 Mleczko i Mizerski
- 6 Ludzie i wydarzenia
- 70 Afisz • 86 Passent
- 88 Hartman • 89 Tym
- 90 Do i od redakcji
- 91 Fusy • 98 Polityka i obyczaje



SŁAWOMIR MIZERSKI Z ŻYCIA SFER

Rozumienie z opóźnieniem

Podzielam oburzenie opinii publicznej wpisem Rafała Trzaskowskiego na Facebooku w dziesiątą rocznicę śmierci prof. Bronisława Geremka. Wpisem, którym pokazał trudną do zaakceptowania twarz osoby dobrze wykształconej i czytającej w oryginale książki intelektualisty Edgara Morina, o czym wielu Polaków może, niestety, tylko pomarzyć. Trzaskowski budzi zrozumiałą agresję, gdy daje nam do zrozumienia, że jest osobą kulturalną, lubi malarstwo i nawet nie próbuje ukryć, że prof. Geremek jest dla niego autorytetem w rodzaju „biblijnego patriarchy z obrazów Rembrandta”, który uczył go „cywilizacji europejskiej”, w dodatku po francusku. Chcę powiedzieć jasno, że jako Polacy nie zazdrościmy Trzaskowskiemu ani wykształcenia, ani jego francuskiego. Zwłaszcza że ten francuski raczej nie był za dobry, skoro nie pozwolił mu podczas egzaminu u Geremka „na oratorskie popisy”, tylko „zmusił do wypowiedzi chłodnej, precyzyjnej i rozsądnej”. Jeśli tak, to po co Trzaskowski się w ogóle tym francuskim chwali, pisząc, że referował w nim credo Edgara Morina z „Penser l'Europe”? Myśli, że komus zaimponuje? Otóż nie zaimponuje, bo tacy jak on czy Geremek nie będą narzucać Polakom, czy mają znać Morina, nie mówiąc o czytaniu go. Zresztą Trzaskowski nie kryje, że tak naprawdę książkę Morina „zrozumiał 10 lat później”. Mimo to



i tak dostał od Geremka najwyższą notę na roku, co jest skandalem pokazującym, w jak patologiczny sposób tworzona była elita III RP. Nic dziwnego, że teraz trzeba tę elitę na gwałt wymieniać, aby ludzi chwalcących się tym, jak wiele książek w oryginale przeczytali, mogli zastąpić ludzie, którzy przeczytali niewiele, ale przynajmniej się tym nie chwala.

Przyznam, że od wpatzonego w Geremka pięknoducha Trzaskowskiego bliższy mi jest jego konkurent Patryk Jaki, którego prof. Geremek cywilizacji europejskiej nie uczył, co zresztą wyraźnie słychać w jego wypowiedziach. Jakiego, w przeciwieństwie do Trzaskowskiego, słaba znajomość języka nie krępuje, nie zmusza do wypowiedzi jasnych i precyzyjnych; przeciwnie, pozwala mu na wypowiedzi mętne i zawile, za których sensem nie nadąza niejednokrotnie nawet sam Jaki.

Polityk ten nie raz dał nam dowód, że gdyby chciał, nauczyłby się francuskiego lepiej od Trzaskowskiego. Jeśli nie chce, to dlatego, że nie jest snobem, że nie rozsada go gigantyczne ego jak Trzaskowskiego i że zamiast czytać przebrzmiałych intelektualistów, woli założyć szalik Legii i pogryllować, aby zrozumieć problemy zwykłych warszawiaków, które Trzaskowski zrozumie pewnie – tak jak „Penser l'Europe” Morina – dopiero za 10 lat, kiedy będzie za późno.

Rozchamowanie



Jerzy Baczyński

Jeśli się nie chce sięgać po inwektywy, zaczyna brakować słów. To, co tzw. większość parlamentarna urządziła w Sejmie przy okazji przepychania ustawy ułatwiającej przejście kontroli nad Sądem Najwyższym, było pokazem cynizmu i arogancji, łamiącym nawet te, dramatycznie niskie, standardy, do jakich już przyzwyczailiśmy się w obecnej kadencji. Uzasadnienie ustawy trwało 7 sekund (!), posłom opozycji odebrano prawo zadawania pytań, zapowiedziano kary finansowe za zakłócanie obrad, a prowadzący „debatę” w komisji poseł Stanisław Piotrowicz skrócił czas wypowiedzi na temat poprawek do 30 sekund. Protestujących posłów opozycji Krystyna Pawłowicz nazwała „bydłem” i odesłała ich do chlewa (chyba powinna do obory?).

W ogóle pani poseł Pawłowicz niemal każdym publicznym zachowaniem prowokuje do ripost, które w naszym kodzie kulturowym, żądającym szacunku dla kobiet, byłyby niedopuszczalne. Raz bodaj Ryszard Petru zawałał do niej z trybuny sejmowej, żeby „się puknęła w łeb”, ale reakcje opozycji na jej zachowania (poza jakimiś rutynowymi skargami) są wciąż bardzo stonowane. Jakby wszyscy przyjęli, że pani poseł ma jakąś przypadłość czy może cechę polegającą na pełnym rozchamowaniu (choć w tym przypadku należałoby raczej mówić o „rozchamowaniu”) i po prostu otwarcie mówi to, co partia myśli.

Nonszalancja i buta Piotrowicza są zapewne innego pochodzenia: to wygląda na kliniczny przypadek człowieka próbującego gorliwością i radykalizmem zatrzeć brzydkie, przynajmniej dla części obecnych towarzyszy, plamy w życiorysie (ostatnio TVN24 przypominał jego aktywną działalność w egzekutywie PZPR). Ale to właśnie ta dwójka Piotrowicz-Pawłowicz (kiedyś napisałem, że pełnią w PiS rolę „Piotra i Pawła”, apostołów nowej wiary) wyznacza dziś – z woli prezesa – styl debaty w polskim parlamencie o najpoważniejszych sprawach ustrojowych.

Wzasadzie istotę tych zmian też nieźle opisywałoby słowo „rozchamowanie”, bo od początku chodzi w nich o zdjęcie, nie tylko formalnych, ale też psychologicznych hamulców, jakie prawo i obyczaj nakładają na rządy we wszystkich demokratycznych krajach. W państwie PiS władza może powiedzieć i zrobić właściwie wszystko, bo taki, według rządzącej partii, jest przywilej większości. Nic dziwnego, że nowelizację przepisów o Sądzie Najwyższym

uchwalono przy entuzjastycznych okrzykach PiS: „demokracja! demokracja!”. Teraz pójdzie szybko: podobno jest już kandydatka na nowego „demokratycznego” prezesa SN (Małgorzata Manowska, była zastępczyni Ziobry w poprzednim rządzie PiS), która wkrótce ma zastąpić – nawet nie Pierwszą Prezes Małgorzatę Gersdorf, bo ona dla PiS już oficjalnie nie istnieje – ale p.o. prezesa sędziego Józefa Iwulskiego.

Przy okazji szykowanej zmiany Zbigniew Ziobro zarzucił sędziemu Iwulskiemu, któremu zdarzyło się orzekać w kilku sprawach z dekretu o stanie wojennym, „służalność” wobec komunistycznego reżimu. To skądinąd bardzo zabawne; po pierwsze, o służalność oskarża sędziego człowieka, który służalność sędziów chce podnieść do rangi zasady ustrojowej; po wtóre, Ziobro, krytykując Iwulskiego za wyroki wydawane zgodnie z ówczesnym „nielegalnym” prawem, ostrzega wszystkich dzisiejszych sędziów, że stanowione prawo może być nielegalne i zawsze powinno podlegać ocenie sędziowskiego sumienia; po trzecie, zachęca sędziów do twardej niezależności, dając do zrozumienia, że orzekanie zgodnie z życzeniami władzy politycznej to zawodowy delikt i nawet po wielu latach może być napiętnowany i ukarany. Zapewne intencja Ziobry była dokładnie odwrotna, ale ta władza wciąż zaplątuje się w swoją pokrętną logikę i retorykę.

Kiedy w Sejmie, otoczonym nie tylko stalowymi barierkami, ale też bezprecedensowo licznymi oddziałami policji, szykowano narzędzia do rozprawy z Sądem Najwyższym, przed Sejmem doszło do przykrych incydentów. Chyba po raz pierwszy, odkąd w tym miejscu odbywają się protesty, niektórym policjantom – namawianym przez ministra spraw wewnętrznych do stanowczości – puściły hamulce. Wśród demonstrantów, którzy zaliczyli „glebę, kolano, kajdanki”, znalazła się znana pisarka, tłumaczka, feministka Klementyna Suchanow. Na naszym portalu polityka.pl przyznaje, że próbowała dostać się na teren Sejmu z zamiarem napisania na murze hasła „Czas na sąd ostateczny”, odnoszącego się do wprowadzanych właśnie reguł „wieczystej” bezkarności władzy.

Być może nasi czytelnicy zauważyli, że, zbiegiem okoliczności, akurat w tamtym tygodniu opublikowaliśmy w POLITYCE tekst Klementyny Suchanow pt. „Duża rodzina”. Artykuł ten nie dotyczył bynajmniej sprawy sądownictwa. Autorka zamieściła materiał śledczy, opisujący związki polskich działaczy „prolife” z tajemniczą międzynarodową organizacją, wspieraną w sposób dość otwarty przez Rosję i ludzi Władimira Putina. Ale w dzisiejszym kontekście daje się to czytać jako przestrożę przed postępującą „putinizacją” naszego świata. I nie chodzi tu tylko o podsycanie przez Rosję wszelkich konfliktów dzielących demokratyczne społeczeństwa, ale o swoistą atrakcyjność putinizmu jako wzorca ustrojowego dla dzisiejszych populizmów (pisze o tym Ziemowit Szczerek na s. 42). Rosyjska „demokracja suwerenna” to nic innego, jak utrzymywanie fasadowych instytucji demokratycznych, przy pełnej realnej kontroli władzy nad opozycją, mediami, sądownictwem, gospodarką, aktywnością społeczną. A to wszystko utopione w sosie ultrakonserwatywnej, państwotwórczej, nacjonalistycznej ideologii i propagandy.

Czy taka putinizacja Polski jest możliwa bez społecznego buntu? Klementyna Suchanow mówi brutalnie: „Jesteśmy w dupie. Przesuwa się nasza granica tego, co akceptujemy”. Rzeczywiście – dysproporcja między (niewielką) skalą protestów pod Sejmem a skalą nadużycia władzy, które się w Sejmie dokonywało, była bolesna. („Jeszcze zamach stanu i już wakacje” – żartowali sobie z opozycji posłowie PiS). Populiści – widzimy to wszędzie, gdzie społeczeństwa zafundowały sobie taki eksperyment – zdobywają i utrzymują poparcie dzięki społecznej obojętności, egoizmowi i ignorancji, skutecznemu podsycaniu lęków i podejrzliwości, wskazywaniu wrogów i winowajców, obietnicom wszystkiego dla wszystkich, odrzucaniu powściągliwości języka i zachowań, akceptacji dla powszechnego „rozchamowania”. Tak, to przez jakiś czas może działać jak używka – relaksująco i euforycznie. Zwłaszcza jeśli się ma słabą głowę. Pytanie: co nazajutrz?

Jan Koza



© JAN KOZA



Jako i my nie odpuszczamy

Nie słyszałem nigdy z ust polskiego prezydenta i popierającej go partii, czy i jakie grzechy wobec Ukraińców mają na sumieniu Polacy.

Tegoroczna, 75. rocznica tragedii wołyńskiej upłynęła w atmosferze wzajemnych oskarżeń, wezwań do „stanięcia w prawdzie” i niechęci do dialogu. Prezydent Duda i prezydent Poroszenko wyraźnie rozminęli się, gdyż w tym samym czasie pierwszy składał kwiaty na grobach Polaków zamordowanych przez UPA na Ukrainie, a drugi – na grobach Ukraińców zamordowanych przez AK na ziemiach polskich. Prezydent Duda powiązał w swym wystąpieniu przebaczenie z przyznaniem się do winy, a prezydent Poroszenko zaproponował znaną formułę „przebaczamy i prosimy o przebaczenie”. Oczywiście odpuścić można tylko grzechy wyznane – i tu Duda ma rację – nie słyszałem jednak nigdy z ust polskiego prezydenta i popierającej go partii, czy i jakie grzechy wobec Ukraińców mają na sumieniu Polacy. I nie chodzi mi tu bynajmniej o wspomniane już okrutne akcje odwetowe Armii Krajowej czy akcję Wisła – bo te działały się już po zbrodniach UPA na polskich mieszkańcach Wołynia – ale o to, co działo się przedtem, jeszcze w II Rzeczypospolitej, i co, niestety, bardzo wzmocniło ukraińskich nacjonalistów i ułatwiło im realizację zbrodniczych planów w czasie wojny. Historycznie jest to dobrze znane i opisane, ale w świadomości społecznej istnieje mit o dobrym państwie polskim i niewdzięcznych Ukraińcach. Pozwolę sobie zatem przytoczyć kilka faktów, które – delikatnie mówiąc – tezy tej nie potwierdzają.

Wciągu dwudziestolecia międzywojennego władze co pewien czas przeprowadzały akcje pacyfikacyjne motywowane chęcią zwalczania ukraińskich organizacji nacjonalistycznych, ale w praktyce stosujące brutalną odpowiedzialność zbiorową. Permanentnie burzono i odbierano cerkwie. W latach 1924–29 tylko na terenie Chełmszczyzny i Południowego Podlasia zamknięto, spalono i rozebrano 148 cerkwi, a 165 zamieniono na kościoły rzymskokatolickie. W 1930 r. przeprowadzono wielką akcję pacyfikacyjną w Małopolsce Wschodniej: niszczone budynki mieszkalne i mienie ruchome, bito ludzi, publicznie wymierzano karę chłosty (!), zamknięto pięć szkół ukraińskich, na wsie nakładano kontrybucje, aresztowano posłów na Sejm z ramienia legalnej, umiarkowanej partii ukraińskiej UNDO. W 1935 r. rozpoczęto swego rodzaju czystkę etniczną: usuwano Ukraińców ze służby leśnej, poczty, komunikacji, łączności i innych instytucji publicznych, jednocześnie dokonując przymusowego nawracania na katolicyzm.

Po śmierci Piłsudskiego w 1937 r. rządząca sanacja bardzo zbliżyła się poglądami do endecji. To wtedy wprowadzono obowiązkowe getta ławkowe dla studentów pochodzenia żydowskiego i przystąpiono do całkowitego oczyszczenia szkolnictwa wyższego z osób narodowości żydowskiej. Tendencja ta znalazła swój wyraz także w odniesieniu do Ukraińców. Ponownie zaczęto burzyć cerkwie (zniszczono ich 128), przymusowo, szantażem i zastraszaniem „nawracano” na katolicyzm. Działania te objęły tym razem Wołyń, co spowodowało, że w tym regionie – w którym nacjonalistyczne organizacje ukraińskie były stosunkowo słabe – nastąpił silny wzrost nastrojów antypolskich i poparcia dla tych organizacji. I tak krok po kroku państwo polskie rozstawiało beczki z prochem na wschodzie Rzeczypospolitej. Maria Dąbrowska tak pisała

o tej akcji: „Biedny Wołyń! Wojsko w roli polskich Krzyżaków, nawracających z prawosławia na katolicyzm. Moralnie – ohyda, politycznie – kliniczna głupota, błąd, za który Polska ciężko płacić będzie”. Proroctwa słowa!

Mamy więc i my za co przepraszać. Uczciwe pokazywanie tych faktów z pewnością ułatwiłoby dialog polsko-ukraiński. Kiedyś byliśmy nawet całkiem blisko porozumienia. W 2003 r., w 60. rocznicę Wołynia, zwróciłem się jako marszałek Sejmu do przewodniczącego ukraińskiej Rady Najwyższej Wołodymyra Łytwyna z propozycją opracowania wspólnej, jednobrzmiącej deklaracji i przyjęcia jej tego samego dnia przez oba parlamenty. Wydawało się to niemożliwe, a jednak 10 lipca 2003 r. stało się faktem! W tekście znalazły się tak ważne sformułowania, jak np. „tragedia Polaków mordowanych i wypędzanych przez zbrojne formacje ukraińskie”, „nie może być usprawiedliwienia dla terroru, przemocy i okrucieństwa” czy „Polacy i Ukraińcy powinni poznawać prawdę”. W oparciu o takie tezy porozumienie wydawało się więc całkiem możliwe. A dziś? No cóż, parafrazując Dantego: „porzucicie wszelką nadzieję, wy, którzy o tym myślicie”. Dopóki polską politykę wobec Ukrainy będzie kształtował współczesna endecja, czyli PiS, oraz ks. Isakowicz-Zaleski wraz z IPN, będzie jak dotychczas albo jeszcze gorzej.

PiS skroił „pod siebie” ordynację wyborczą do europarlamentu. Sęk w tym, że w tej kwestii obowiązuje prawo wspólnotowe i żaden kraj nie może robić ot tak, co chce. Zgodnie z decyzją Rady Europejskiej z 2002 r. wszystkie państwa członkowskie muszą stosować system oparty na zasadzie proporcjonalnej reprezentacji, przy czym państwo członkowskie może ustalić minimalny próg przydziału mandatów, ale nie wyższy niż 5 proc. Nasza dotychczasowa ordynacja spełniała te warunki. Każda partia, która w wyborach uzyskuje więcej niż 5 proc. głosów w całym kraju, miała gwarancję uzyskania kilku mandatów. Nowa ordynacja, zgodnie z którą mandaty przydzielane będą w każdym z 13 okręgów wyborczych z osobna, sprawia, że nawet 10-proc. poparcie nie daje gwarancji uzyskania mandatu, a poparcie 5–8-proc. gwarantuje, że mandatu nie będzie! Jest to jawnie sprzeczne z decyzją Rady. Zamiast więc narzekać i biadolić, jaki to PiS jest podły (choć jest), radzę przygotować skargę do Trybunału Sprawiedliwości na łamanie prawa wspólnotowego, a niezależnie od tego, na wszelki wypadek, zaraz po wyborach samorządowych przystąpić do rozmów nad stworzeniem przez demokratyczną opozycję w przyszłorocznych wyborach do europarlamentu wspólnej listy europejskiej.

Komisja śledcza ds. Amber Gold. Dialog między posłem Kownackim (dawnym zastępcą Macierewicza w MON) i byłym ministrem Rostowskim:

K.: „Czy był Pan na początku lat 90. w Rosji?”

R.: „Tak, doradzałem wicepremierowi Gajdarowi”.

K.: „Czy bywał Pan w Petersburgu?”

R.: „Tak, raz”.

K.: „A czy w tym czasie był tam także pan Putin?”

Niestety, Rostowski nie wiedział. Potrzebna będzie zatem nowa komisja śledcza, najlepiej w składzie: Kownacki, Pięta, Pawłowicz.

KOMENTARZ

Nadzwyczajna kasta PiS

Ewa Siedlecka



Trybunał Konstytucyjny „dobrej zmiany” wykonał zadanie: orzekł, że prezydent miał prawo udaremnić osądzenie Mariusza Kamińskiego. Ludzie PiS dostali licencję na bezkarne łamanie prawa. PiS staje się „nadzwyczajną kastą”. Partia, widząc, że porządkowanie sędziów może się nie udać, odbiera sędziom władzę nad swoimi ludźmi.

Sprawa walki o bezkarność dla Mariusza Kamińskiego, skazanego trzy lata temu za nadużycie władzy, obnaża służalczość obecnego Trybunału Konstytucyjnego i stosunek PiS do zasady równości wobec prawa. Symboliczne jest, że chodzi o uniknięcie odpowiedzialności za nadużycie władzy.

Z uzasadnienia Trybunału wynika, że akt łaski prezydent może stosować w każdym stadium postępowania. A więc np. może udaremnić postawienie zarzutu groźby karalnej policjantowi, który w piątek na demonstracji do (zatrzymanego i poturbowanego później) Dawida



© JĘDRZEJ NOWICKI/AGENCJA GAZETA

Winiarskiego powiedziała: „Znajdę swój pretekst. Zrobimy tak, jak w Katowicach”. A w Katowicach policja złamała demonstrantowi rękę.

Gdy jesienią 2015 r. prezydent Andrzej Duda ułaskawiał nieprawomocnie skazanego na trzy lata za nadużycie władzy Mariusza Kamińskiego, powiedział, że „uwalnia sądy” od tej sprawy. Większość prawników była zgodna: udaremnienie sądom osądzenia to wejście prezydenta – władzy wykonawczej – w kompetencje władzy sądowniczej. A więc złamanie konstytucji. Teraz prezydent Duda może się nie martwić: wyrok TK uniemożliwia postawienie go za to przed Trybunałem Stanu. A od odpowiedzialności karnej sam może, zawczasu, siebie ułaskawić.

Trybunał Konstytucyjny orzekł w pięcioosobowym składzie, w którym nie było dublerów, co może świadczyć o tym, że PiS chciał zadbać, by nie był kwestionowany ze względów formalnych. W składzie byli sędziowie wybrani przez Sejm obecnej kadencji – w tym Julia Przyłębska, a ze „starych” sędziów – Leon Kieres, który złożył zdanie odrębne.

Wyrok nie tylko sankcjonuje ochronę ludzi władzy przed osądzeniem. Nie tylko pokazuje, że Trybunał jest „sądem na telefon”. Obnaża też zawstydzająco niski poziom sędziów i służb prawnych Trybunału. Bo orzec – to nie sztuka. Sztuka uzasadnić. A tu uzasadnienie było w stylu: „bo tak”. Sprawozdawca, sędzia Grzegorz Jędrzejek, podjął wprawdzie próbę zmierzenia się z niewygodnym

faktem, że konstytucja to całość, a nie izolowane przepisy. Że w konstytucji jest domniemanie niewinności, które przekreśla rozumiana po nowemu łaska prezydencka, bo sąd nie może osądzić winy. Że jest w niej prawo do sądu, które łaska stosowana przed skazaniem odbiera osobom pokrzywdzonym przez ułaskawienie. I że art. 31 konstytucji nakazuje wyważać pomiędzy konstytucyjnymi prawami, które mogą się nawzajem znosić. Np. pomiędzy prawem do prywatności a prawem do bezpieczeństwa publicznego albo ochroną własności a prawem wywłaszczania na ważne cele publiczne. Trybunał Konstytucyjny przez lata zajmował się niczym innym, jak godzeniem i wyważaniem konstytucyjnych wartości.

Sędzia Jędrzejek poradził sobie z tymi argumentami metodą cepa – stwierdził: uznanie, że konstytucję trzeba czytać jako całość, prowadziło do wniosku, że konstytucja może być sprzeczna z konstytucją. A to byłby absurd. Prostota tej argumentacji powala chyba nie tylko prawników. I otwiera naprawdę szeroką perspektywę: odtąd nowy Trybunał nie jest już w orzekaniu skrępowany konstytucją!

Wyrok Trybunału w tej sprawie jest też nieudolny z czysto technicznego powodu: może nie doprowadzić do tego, do czego miał doprowadzić – do ostatecznego umorzenia postępowania przeciwko Kamińskiemu i innym. Dlaczego?

Zagadnienie zadane Trybunałowi do osądzenia przez prokuratora generalnego Zbigniewa Ziobrę brzmiało: sprzeczny z konstytucyjnym prawem łaski prezydenta jest przepis Kodeksu postępowania karnego, który – wyliczając sytuacje, kiedy postępowanie musi zostać umorzone – nie wymienia „aktu abolicji indywidualnej”. Żeby więc skutecznie udaremnić prawomocne osądzenie Kamińskiego, Trybunał powinien orzec tak: ten przepis jest zgodny z konstytucją, pod warunkiem że zawarty w nim punkt „zachodzi inna okoliczność wyłączająca ściganie” rozumie się tak, że mieści się w nim owa „abolicja indywidualna”.

Ale Trybunał – można podejrzewać, że przez nieuctwo i brak doświadczenia – orzekł, że przepis jest sprzeczny z konstytucją. A skoro tak, to trzeba go zmienić, i dopisać do niego przesłankę abolicji.

Tymczasem... 25 lipca – jeśli nic się nie zmieni – Sąd Najwyższy zajmie się kasacją w sprawie Mariusza Kamińskiego i innych, złożoną przez pokrzywdzonych, m.in. brata Andrzeja Leppera (sąd nagłe przyspieszenie w TK). Trzyosobowy skład Sądu Najwyższego będzie miał przed sobą wyrok TK uznający niekonstytucyjność przepisu, ale przepis nadal będzie w prawie, i to bez abolicji indywidualnej. Sąd nie może jej sobie „dopisać” do tego przepisu. Może odroczyć sprawę i poczekać, aż parlament ją dopisze. Albo nie czekać i oprzeć wyrok na uchwale siedmiu sędziów SN z maja zeszłego roku, która ma moc zasady prawnej i zapadła w odpowiedzi na pytanie prawne tegoż właśnie trzyosobowego składu SN. Uchwała brzmiała: prezydent nie może w ramach aktu łaski udaremnić osądzenia, bo to narusza prawo do sądu i zasadę domniemanie niewinności.

Prawo mówi, że skład sądzący jest bezwzględnie związany w danej sprawie odpowiedzią na pytanie prawne, które zadał. Co zrobi trzyosobowy skład Sądu Najwyższego? Zobaczymy. Sędziowie wiedzą, że orzeczenie wbrew woli partii rządzącej oznaczać może postępowanie dyscyplinarne.

Na razie widać, że – mimo tej groźby – PiS nie radzi sobie z podporządkowaniem sędziów sądów powszechnych. To oni doprowadzili sprawę ułaskawienia Kamińskiego do Sądu Najwyższego. To ich nieposłuszeństwo ma udaremnić uchwalona właśnie przez Sejm ustawa, która pozwala prezesom sądów odsuwać sędziów od orzekania w konkretnej sprawie, zmieniając im „zakres czynności”. I przyspiesza osadzanie Sądu Najwyższego sędziami, którzy w Krajowej Radzie Sądownictwa przejdą „test Gersdorff”. Nie byłoby tej ustawy, gdyby PiS wierzył, że zapanuje nad sędziami samym zastraszaniem postępowaniami dyscyplinarnymi. I nie byłoby tego wyroku Trybunału „dobrej zmiany”.

Futra od prezesa

PiS wycofuje się z zakazu hodowli zwierząt na futra i obustrzeń dotyczących uboju rytualnego. I to mimo zaangażowania Jarosława Kaczyńskiego.

Kaczyński osobiście się pod projektem nowelizacji podpisał, a nawet wystąpił w spocie kampanii fundacji Międzynarodowy Ruch Na Rzecz Zwierząt Viva! „To kwestia serca” – mówił prezes o zakazie hodowli na futra w listopadzie zeszłego roku. Mamy jednak już 2018, rok wyborczy, i politycy ugięli się pod presją lobby futrzarskiego i mięsnego. Wątpliwe, by chodziło tylko o głosy zatrudnionych w tych branżach, na fermach futrzarskich pracownika Polaka trudno znaleźć, więc zapewne chodzi o pieniądze. I to nie te, które trafiają do budżetu. Ok. 600 mln zł podatku rocznie – podają futrzarze, ale do ich kieszeni trafia niemal cztery razy tyle. Branża jest jedynie producentem surowca, generuje małą wartość dodaną (0,08 proc. PKB, 0,16 proc. eksportu): oficjalnie to wpływy do budżetu i utylizacja odpadów poubojowych miały zdecydować o wykreśleniu z projektu zakazu hodowli zwierząt futerkowych.

Wycofanie się z zakazu hodowli zwierząt futerkowych jest interpretowane jako sygnał słabnącej pozycji prezesa w partii, który ustąpił twardogłowym (frakcja Szyszki, Macierewicza, Pawłowicz). Chyba że rację mają ci, którzy od początku te wszystkie gesty Kaczyńskiego (udział w kampanii Vivy!, przekazanie atlasu kotów z odrębną dedykacją na licytację na rzecz Krakowskiego Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami) uznawali za piarowskie zagrania mające na celu ocieplenie wizerunku prezesa.

W parlamencie jest jeszcze drugi projekt nowelizacji, autorstwa PO i Nowoczesnej, tam jednak karencja na wejście w życie zakazu



© LECH MUSZYSKI/PAP

chowu na futra jest siedmioletnia. I nie ma ani słowa o uboju rytualnym. Bo wśród prominentnych polityków Platformy są tacy, którzy od początku zakazowi uboju rytualnego byli przeciwni. Opozycja ma nadzieję, że uda się ponadpartyjnie, głosami obrońców zwierząt, tę nowelizację jednak uchwalić. Ale to już po wakacjach, a może i po wyborach.

AGNIESZKA SOWA

Wakacje legis

PiS w ostatni piątek, jak powiedział Łukasz Piebiak, zastępca ministra Ziobry, „domknął system” i tak zaczęły się parlamentarne wakacje. Jeśli Senat przyjmie ustawę przyspieszającą przejście przez PiS Sądu Najwyższego, a takie jest polecenie z Nowogrodzkiej, to posłowie wrócą na Wiejską dopiero 11 września.

Wynika z tego, że posłowie będą mieli aż 52 dni wakacji od Sejmu. W poprzedniej kadencji, kiedy rządziła koalicja PO-PSL, najdłuższe wakacje trwały 33 dni. Za ten sierpień bez pracy przy Wiejskiej dostaną pensje 10 020 zł brutto i nieopodatkowaną dietę 2505 zł, choć prezes PiS obniżkę uposażeń parlamentarzystów – o 20 proc. (do 8017 zł brutto) – ogłosił już dawno temu, 5 kwietnia. „Krótko mówiąc: będzie w tej chwili dużo, dużo skromniej. Dużo skromniej, niż było dotychczas” – mówił Jarosław Kaczyński.

Okazuje się, że to „teraz” zacznie obowiązywać dopiero od września. Skąd ten kontrolowany poślizg we wprowadzeniu obniżek w życie? Spójrzmy na proces legislacyjny: 13 kwietnia ustawa wpływa do marszałka Sejmu i czekała na pierwsze czytanie 13 dni. Sejm uchwalił ją 10 maja, Senat nie wniósł żadnych poprawek, na biurko prezydenta trafiła 11 czerwca, ale Andrzej Duda podpisał ją dopiero 29 czerwca. Wynika z tego, że już od lipca powinno być – jak mówił Kaczyński – skromniej, a jednak nie jest. Wybrańcy narodu zawdzięczają to poprawce ostatniego artykułu nowelizacji, którą zgłosił poseł PiS.

W pierwotnym projekcie brzmiał on tak: ustawa wchodzi w życie z pierwszym dniem miesiąca następującego po dniu ogłoszenia. W przegłosowanej wersji wchodzi w życie pierwszego dnia drugiego miesiąca następującego po ogłoszeniu.

Jak to się stało? Legislator sejmowy zgłosił, że jeśli ustawa będzie ogłoszona w Dzienniku Ustaw w ostatnie dni miesiąca, to Kancelaria Sejmu będzie miała zaledwie kilka dni na przeliczenie, o ile obniżoną pensję ma wypłacić danemu parlamentarzystyście (pensje są różne, bo parlamentarzyści dostają różne dodatki funkcyjne). Andrzej Matusiewicz (PiS) podchwycił, że może w takim razie okres *vacatio legis* powinien być wydłużony o co najmniej miesiąc, czyli miał na myśli, że może i więcej. W praktyce oznacza to, że przez kolejny miesiąc posłowie pobierają dotychczasowe pensje. Przewodniczący komisji Włodzimierz Bernacki (PiS) zgłosił tę poprawkę, a wszyscy posłowie poparli go w głosowaniu.

Kiedy PiS na czymś zależy, to potrafi przeprowadzić przez Sejm ustawę w 48 godzin (jak ostatnio). To chyba ostateczny dowód na to, że to „skromniej” było ruchem „pod publiczność”, który miał uratować spadające w związku z nagrodami dla ministrów sondaże. Po drugie, to od PiS, a konkretnie od premiera, zależy, kiedy ustawa jest opublikowana w Dzienniku Ustaw (a powinien zrobić to niezwłocznie po podpisie prezydenta) i od kiedy obowiązuje. Ostatecznie ustawa została ogłoszona 9 lipca, więc Kancelaria Sejmu i Senat miałyby wystarcząco dużo czasu, aby przeliczyć, o ile któremu parlamentarzystyście zmniejszyć przelew. Gdyby nie ta pozornie drobna poprawka, „skromniej” obowiązywałoby już od sierpnia, a w budżecie pozostałoby 1,064 mln zł. DĄB.

Futboloterapia



Francja zafundowała sobie moment szczęścia – tak francuskie media przywitały zwycięstwo mistrzostwa świata przez piłkarską drużynę narodową. Rekordowe zyski reklamowe zainkasowała grupa telewizyjna TF1 i BeIN Sports, poza tym Francuzi obstawili ponad ćwierć miliarda euro (też rekord) w loteriach i zakładach sportowych, a eksperci ekonomii prognozują, że sukces poprawi morale Francuzów, przełamie tradycyjne ponure nastroje kraju rzekomo schyłkowego, a konsumenci zwiększą zakupy, co się przełoży na wzrost dochodu narodowego.

Poprzedni tytuł mistrzowski z 1998 r. przyniósł ówczesnemu prezydentowi Jacques'owi Chiracowi wzrost sympatii aż o 7 punktów w sondażach. Nic dziwnego, że obecny prezydent Emmanuel Macron liczy na podobny efekt tym bardziej, że naprawdę potrzebuje doraźnego choćby wsparcia, bo jego pozycja słabnie. Zaraz po mundialu nie tylko nadał piłkarzom order Legii Honorowej, ale w Pałacu Elizejskim urządził huczne przyjęcie dla ogromnej grupy młodych piłkarzy. „To zwycięstwo umocni wizerunek Francji na wiele lat, a więc także niemal automatycznie wizerunek tego, który stoi na czele” – orzekł Pascal Boniface, dyrektor paryskiego Instytutu Badań Strategicznych IRIS.

Sami bohaterowie tych wydarzeń, najczęściej dzieci imigrantów, w tym z tak negatywnie opisywanych przedmieść Paryża, publicznie podkreślili dumę ze szlachetniejszego oblicza Francji. Pogba: „Taka jest Francja, z wielu źródeł, to sprawa, że jest piękna”. Mbappé: „Trzeba Francji dać wszystko”. Nic dziwnego, że dziennik „Libération” podkreślił, że ci sportowcy stali się nagle modelem udanej integracji. Różnice kulturowe, francuskość i Europa nie muszą się ze sobą kłócić – napisał.

Globalna klimatyzacja

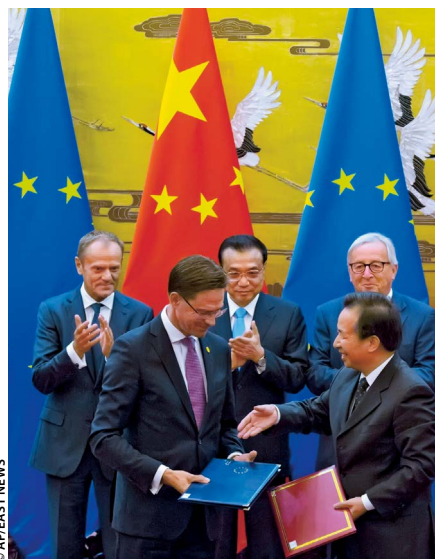
Tylko 8 proc. z ludzi żyjących w najgorętszych zakątkach świata ma dostęp do klimatyzatorów. A dla planety to i tak może być zbyt wiele.

Materiał do rozważań na lato, które w różnych miejscach globu bije właśnie rekordy temperatur (patrz relacja ze Szwecji obok). Według organizacji Sustainable Energy for All, afiliowanej przy ONZ, z 2,8 mld ludzi żyjących na najgorętszych obszarach planety tylko 8 proc. ma dziś dostęp do urządzeń chłodzących (a 90 proc. np. w Japonii i USA). Nie jest to tylko kwestia komfortu życia, ale w wielu wypadkach zagrożenie dla zdrowia i życia: liczba przypadków śmierci z przegrzania liczona jest w setkach tysięcy i gwałtownie rośnie. Spada za to tam, z powodu coraz wyższych średnich temperatur, czas pracy. Jest i dobra wiadomość: 2,3 mld ludzi w krajach rozwijających się planuje zakup domowej klimatyzacji i coraz więcej osób na nią stać. Ale to optymizm pozorny: klimatyzacja jest w sumie może największym na świecie pożeraczem energii. W Chinach niedługo pochłonie niemal połowę energii elektrycznej. Większe zapotrzebowanie na energię to większa emisja CO₂, czyli przyspieszające ocieplenie klimatu. Na co odpowiedzą będzie podkręcenie klimatyzacji, większe zapotrzebowanie na energię, cieplejszy klimat – i tak bez końca. To znaczy, niestety, ponury kres rysuje się coraz wyraźniej. Ale może nie myślimy o tym na hamaku.

Eurazja przerzucą mosty

Za jakiś czas zobaczymy, który szczyt przyniesie poważniejsze skutki. Helsiński prezydentów USA i Rosji czy **spotkanie w Pekinie**, gdzie tego samego dnia przywódcy Chin podejmowali liderów Unii Europejskiej. Mimo głębokich różnic dzielących Chiny i Europę (prawa człowieka, ochrona europejskich inwestycji, dumping chińskiej produkcji), obiecali sobie, że postarają się utrzymać liberalny system międzynarodowy w dobrej formie. Na przekór prezydentowi USA Donaldowi Trumpowi, który chciałby położyć go na fopatki.

Deklaracja jest oczywiście niezobowiązująca, sam liberalizm zmaga się z kryzysem, dodatkowo ten w chińskim wydaniu podszyty jest zamordyzmem, ale demonstrowany jest kierunek. Unia i Chiny próbują zwracać szeregi, by zachować korzystny dla nich porządek w gospodarce, stworzony



zresztą i utrzymywany po II wojnie przez Amerykę. Nie pasują im wojny handlowe z USA, Europie także Trump wątpiący w NATO, podważający sens Unii i ignorujący tradycyjne sojusze. Do przerzucania mostów

dopinguje jeszcze przyspieszającą z ludzkiej winy zmianą klimatu, w którą Trump nie wierzy. Z taką Ameryką kłopot ma i Japonia. Dlatego, będąc w Azji, przewodniczący Rady Europejskiej Donald Tusk i szef Komisji Europejskiej Jean-Claude Juncker zajrzeli do Tokio, by podpisać negocjowaną od lat umowę o wolnym handlu.

Porozumienie przewiduje niższe cła m.in. na europejskie wina i sery oraz japońskie samochody, obejmie jedną czwartą światowej gospodarki i ustanowi największą tego typu strefę w historii. Podobne umowy Europa negocjuje z szeregiem państw, od Ameryki Płd., przez Afrykę, Azję i Oceanię, choć próby te pewnie ani nie zrównoważą, ani nie zastąpią związków gospodarczych UE z USA (np. handel Unii z Japonią to 20 proc. wymiany amerykańsko-europejskiej). Niemniej asertywność Europy wzrasta. Rekordowa kara 4,3 mld euro dla amerykańskiego internetu giganta Google, nałożona przez Komisję Europejską za blokowanie konkurencji, ma być tego namacalną wskazówką.



© EPA/PAP

Gaszenie ogniem

Płonący las w okolicach Ljusdal. W ciągu ostatnich dni w Szwecji odnotowano już ponad 40 pożarów.

Polscy strażacy owacyjnie witani w całej Szwecji. Takimi tytułami powitano w gazetach konwój 44 polskich wozów, który po przybyciu w sobotę do portu w Trelleborgu w niedzielę przyjechał do prowincji Dalarna (znanej jako centrum narciarstwa klasycznego), na północ od Sztokholmu, w której od tygodnia szaleją największe w dziejach Szwecji pożary lasów. Dziennik „Dala-Demokraten” na bieżąco transmitował na swoim kanale telewizyjnym przejazd Polaków, pokazując tłumy ludzi, jakie się zbierały przy drogach, aby ich powitać. W poniedziałek przystąpili oni do akcji ratowniczej. Kieruje nią potomek polskich emigrantów 34-letni Johan Szymanski, najmłodszy w historii szef regionalnej straży, który objął to stanowisko już jako 28-latek. Podjął on ryzykowną akcję hamowania pożarów ogniem, wypalając w kontrolowany sposób przestrzenie, w kierunku których zmierzają płomienie.

W Szwecji panują największe od 260 lat upały, z temperaturami przekraczającymi 35 st. C. Sprzyjają one pożarom, które dotknęły już kilkadziesiąt tysięcy hektarów lasów (dokładne dane nie są jeszcze znane). Niektóre będą się tlić jeszcze przez wiele tygodni. Wysokie temperatury utrzymają się co najmniej do końca lipca.

Misjonarka za kratami

Afera w zgromadzeniu sióstr Matki Teresy może zagrozić dziełu uznanej za świętą laureatki pokojowego Nobla.

W jednym z ośrodków pomocy społecznej, jakie w Indiach prowadzą misjonarki miłości, doszło, według ustaleń policji, do nielegalnej transakcji, zagrożonej karą więzienia do 10 lat. Chodzi o dom samotnej matki w mieście Ranchi, w stanie Jharkhand. Pracująca w nim siostra Concilia została aresztowana pod zarzutem sprzedaży dziecka bezdzietnej parze za 120 tys. rupii (1500 euro). Pogłoski o handlu dziećmi do adopcji w tej placówce krążyły od dawna, teraz nabrały ciała i mogą być wykorzystane przeciwko całemu zgromadzeniu, choć zapewniło, że więcej nic takiego się nie zdarzy.

Siostry są przeciwne adopcjom dzieci przez pary homoseksualne i pojedyncze osoby, na co zezwala prawo przyjęte niedawno przez rządzących w Indiach

nacjonalistów premiera Modiego. Ta sama partia rządzi w stanie Jharkhand. Tamtejsi chrześcijanie czują się dyskryminowani. Tak odbierają ustawę zakazującą przechodzenia na inne wyznanie. Teraz szef stanowej policji wezwał władze państwowe do zamrożenia kont bankowych zgromadzenia misjonarek. Obecny klimat umacniania narodowej i religijnej tożsamości hinduskiej sprzyja oskarżeniom mniejszości religijnych, w tym chrześcijan. Lokalny biskup katolicki w Ranchi mówi o rewizjach w różnych miejscach, mających dostarczyć władzom dowodów nielegalnej działalności sióstr. Inny o polowaniu na czarownice, mającym skompromitować misjonarki pod sfinansowanymi oskarżeniami. W konsekwencji mogłoby to prowadzić do sparaliżowania całej działalności zgromadzenia, a nawet jego delegalizacji.

W obronie ich dzieła stanęła centrolewicowa polityk i szefowa władz stanowych Bengal Zachodniego Mamata Banerjee, która uważa, iż nacjonałści wzięli siostry na muszkę, bo pasują im do narracji o oczyszczeniu narodu z obcych kulturowo naleciałości.

Kapitan dobrej zmiany

Pakistan ma nowego bohatera: 66-letniego **Imrana Khana**, zwanego Kapitanem, bo w 1992 r. poprowadził narodową reprezentację krykieta po mistrzostwo świata. Wykształcony w Oxfordzie, bogato wżeniony, przez lata wiódł w Londynie żywot playboya i imprezowicza oraz kolegował się z Mickiem Jaggerem. Ostatnio zapragnął zaistnieć w pakistańskiej polityce, na czele swojej partii PTI, ale szło mu opornie, jeszcze niedawno partia miała tylko jednego posła w parlamencie. Poszedł w górę na fali nowego konserwatywnego populizmu, która ogarnia świat, wszędzie pokazując zdumiewająco podobne oblicze. A prawdziwą karierę, która po śródowych wyborach zaprowadzi go prawdopodobnie na fotel premiera, przyniosło mu hasło walki z korupcją i wstawania z kolan („Pakistan zasługuje na lepszy los”). A konkretnie domagał się rozliczenia poprzedniego premiera Nawaza Sharifa z rządzącej PML(N), którego pogrążyły Panama papers z 2015 r.,



© GETTY IMAGES

z informacjami o praniu wielkich pieniędzy poprzez panamskie spółki i o sekretnej nieruchomości w Londynie przy Park Lane.

Miesiąc temu Sharif został skazany na 10 lat więzienia. Dobrze poinformowani głoszą, że wszystko odbyło się za zgodą wojskowych, którzy trzęsą krajem i rządzą nim przez połowę 70-letniej historii Pakistanu. A z którymi – i z równie wpływowymi służbami specjalnymi – były premier wszedł w ostry konflikt. Z kolei wojsko wspiera dziś Kapitana Khana i toruje mu drogę do zwycięstwa, a on sam stał się zagorzałym mużulmaninem, więc cieszy się poparciem kleru. Na wiecach, które wypełniają stadiony, gdzie kiedyś wygrywał, przedstawia się jako człowiek spoza rodzinnych klanów, które od zawsze rządzą pakistańską polityką, wiesz także psy na liberałach oraz głosi, że co roku wypływa z kraju nielegalnie 10 mld dol. i on te pieniądze przywróci narodowi. Miały go skompromitować opublikowane właśnie wspomnienia drugiej żony, gwiazdy tv, że przez lata nie było wieczoru „bez 6 gramów kokainy” i że ma dzieci na boku, ale dziennikarze są życzliwie instruowani, aby się takimi brudami publicznie nie zajmować.

Jeszcze o Kapitanie usłyszymy.



Złotopolski

Choć jako premier zdecydowanie przereklamowany, **Mateusz Morawiecki** mimo wszystko potwierdza, że jest filarem obozu władzy.

RAFAŁ KALUKIN

Wymieniając Beatę Szydło na Mateusza Morawieckiego, prezes Kaczyński dokonał jednej z najdziwniejszych operacji politycznych w dziejach III RP. Nie uzasadniały jej żadne racjonalne przesłanki; nie poprzedzał kryzys wewnętrzny w obozie władzy ani spadki sondażowe. Odchodząca premier do końca była zresztą ulubienicą wyborców partii rządzącej. Za to następcę witano z ostentacyjnym chłodem, jako podejrzanego przedstawiciela finansowych elit i obce ciało w PiS. Ostatecznie z wielkim trudem udało się opanować chaos we własnych szeregach dyscyplinującym apelem: „zaufajmy prezesowi”.

Pierwsze półrocze rządów Morawieckiego niewiele wszakże wyjaśniło. Co prawda po kiepskim początku premier z czasem nabrał względnej biegłości w sprawowaniu urzędu i – jak się zdaje – dziś pewnie utrzymuje się w siodle. Z rządzeniem bywa gorzej. Przede wszystkim gasi pożary i snuje wielkie plany. O ich realizacji wiadomo jednak niewiele. Z pisowskiego rękawa nie wypadły więc żadne asy uzasadniające personalny gambit Kaczyńskiego. Wielkim asem na razie nie okazał się również sam premier, choć często bywa tak kreowany.

Odwracanie kota ogonem

WPRL popularna była szydercza formułka o socjalizmie, który najlepiej sobie radzi z rozwiązywaniem problemów, które sam spowodował. Podobnie jest z Morawieckim. Jeśli już daje dowody sprawności, to przeważnie tam, gdzie obozowi rządzącemu z własnej winy rozlało się mleko i trzeba posprzątać. Po każdej takiej akcji propaganda stawia premierowi okazałe pomniki. Słyszymy wtedy, że wreszcie dorósł do roli męża stanu. Choć wyborcy raczej nie mają takiego wrażenia. Poparcie dla rządu jeszcze od czasów Beaty Szydło (według CBOS) niezmiennie oscyluje wokół granicy 40 proc. W porównaniu z poprzedniczką Morawiecki zyskuje tylko tym, że być może część do tej pory niechętnych rządowi przeszła do grona obojętnych.

Mimo to propagandowe salwy ku czci premiera stają się coraz donośniejsze. Ostatnio ogłoszono, że Morawiecki ostatecznie już dowiódł swej wielkości, być może nawet zasłużył na sugerowaną od dawna sukcesję po Kaczyńskim. Tomasz Sakiewicz zaproponował wręcz zgłoszenie kandydatury premiera do Pokojowej Nagrody Nobla. Za to, że wynegocjował z izraelskim rządem umowę pozwalającą Polsce bez nadmiernego upokorzenia wycofać się z absurdalnej ustawy o IPN. Doszło więc do klasycznego odwrócenia kota ogonem, kapitulację sprzedano jako triumf. Choć raptem dwa tygodnie przed ogłoszeniem umowy polski premier zarzekał się na łamach „Gazety Polskiej”, że „nie zamierzamy wycofać się z obrony dobrego imienia Polski”.

A gdy już się wycofał, zdobył się na chwilę szczerości w rozmowie z „Sieciami”: „Powiedzmy sobie jasno, skuteczność zapisów o ściganiu i zamykaniu w więzieniach autorów nieprawdziwych słów o Polsce wypowiedzianych gdzieś w mediach na innych kontynentach była raczej niewielka”. Czyżby więc do tej pory premier ściemniał, głosząc przeciwny pogląd i tumaniąc obywateli? Trudno oczywiście robić szefowi rządu wyrzuty, że w dobrej sprawie przejrzał na oczy. Ale do politycznej wielkości sporo tu jeszcze brakuje.

Nieco wcześniej równie gromko chwalono Morawieckiego za sejmowe wystąpienie, w którym przedstawił socjalne credo rządu PiS i przejechał się po „turboliberalnej” opozycji. Oracja istotnie była sugestywna, lecz nade wszystko hucpiarska. Bo szef rządu został wówczas zobowiązany przez Sejm

© TOMASZ HAMBRAT/GAZETA POLSKA/FORUM

nie do atakowania opozycji, lecz do złożenia wyjaśnień w sprawie dopiero co zakończonego protestu niepełnosprawnych. Kiedy to okazało się, że społeczne serce rządu bije nader nierówno i samozwańczy prymusi społecznej wrażliwości potrafią zaskoczyć niewrażliwością graniczącą momentami z okrucieństwem, Morawiecki odpowiedział jednak typowo po pisowsku, bez pardonu atakując opozycję. Także i tym razem kot modelowo został więc odwrócony ogonem.

W sprawie pisowskiej „reformy” sądów długo udawał Greka i głosił pogląd, że sprawa w ogóle nie jest kontrowersyjna. Powołując się na swoje rozmowy z „przedstawicielami świata zachodniego”, twierdził, że cała Europa wręcz oczekuje od Polski, aby „zwiększyła efektywność kosztową i procesową” w sądownictwie.

Z czasem już się jednak nie dało nadal odgrywać zdziwionego, zwłaszcza po niedawnym gradobiciu, jakie premierowi zafundował Parlament Europejski. Teraz konsekwentnie lansuje więc obraz Sądu Najwyższego jako siedliska dawnych komunistycznych cyngli, masowo skazujących bohaterów Solidarności (w tym jego towarzyszy z Solidarności Walczącej). Podając liczbę wszystkich ofiar stanu wojennego, dodał do niej jedno zero i wyszło mu, że krwawa junta wymordowała po 1981 r. tysiąc Polaków. Co ciekawe, zaraz po debacie w PE twierdził, że to Europa nie wie, czym był komunizm, toteż nie jest w stanie zrozumieć polskiej wrażliwości – i stąd czepianie się PiS za czystkę w sądownictwie. Zupełnie nieuprawnione, skoro – jak oświadczył Morawiecki „Sieciom” – „dziś jesteśmy jednym z najbardziej praworządnych państw w Europie”.

Ogólnie rzecz biorąc, premier woli jednak mówić o miłych rzeczach. Najbardziej sobie ceni wielkie wizje. Niezbyt może realistyczne, za to spektakularne i działające na wyobraźnię. Należy bowiem nieustannie rozbudzać dumę narodową i wydobyć Polaków z kompleksu niższości. Osławiony „milion samochodów elektrycznych” sprawi więc, że już wkrótce „będziemy eksportować więcej aut do Niemiec niż Niemcy do nas”. W jaki sposób kraj niedysponujący choćby jedną powszechnie znaną motoryzacyjną marką miałyby wyprzedzić głównego światowego importera aut? Musi nam wystarczyć nadzieja, iż „kosmiczny plan i marzenie raz na sto lat może się zmaterializować”.

Z kolei już po klęsce piłkarzy na rosyjskim mundialu niewzruszony premier zupełnie serio stwierdził, że w ciągu 20 lat nasi będą mistrzami świata. Polska piłka tkwi bowiem w enigmatycznym splocie z „polską myślą państwową”, która za rządów PiS przeżywa swoje odrodzenie. Nasza mocarstwowość objawi się zatem również na boisku.

Chce dobrze, robi niewiele

Chwaląc się i atakując opozycję, podąża więc Morawiecki ścieżką przetartą przez Szydło. Różnice może i widać w stylu bądź ogładzie. To wystarczyło, aby bardziej umiarkowana część PiS wciągnęła premiera na sztandary. Uznaje więc za sukces Morawieckiego, że pozbył się z rządu jawnych szkodników: Macierewicza, Szyski i teraz Jurgieła. Przypisuje mu udział w wygaszeniu niektórych toksycznych narracji (np. o niemieckich reparacjach wojennych). Kolportowane są zakulisowe plotki, że Morawiecki uwrażliwiony jest na propagandowe prymitywizmy TVP i nawet – na razie bezskutecznie – interweniuje u Kaczyńskiego, aby wpłynął na Jacka Kurskiego (Morawiecki ani jednym słowem nie potwierdził swojego zniesmaczenia publiczną telewizją).

Uparcie zresztą powracają sugestie, że w gruncie rzeczy Morawiecki ulepiony jest z nieco innej gliny niż prezes. Że nie jest aż tak radykalny, coraz lepiej mu zresztą ponoć idzie hamowanie krwawych instynktów partyjnego szefa. Choć nie ma

na ten mniejszy radykalizm premiera żadnych namacalnych dowodów – Morawiecki wyraźnie przecież porusza się po terenie oznaczonym przez Kaczyńskiego – i niewiele wskazuje, aby prezes widział w szefie rządu kogoś więcej niż kolejnego premiera-zderzaka. Nawet jeśli dziś nie widać dla niego sensownej alternatywy.

Zbiera wreszcie Morawiecki pochwały za to, że rząd stał się sterowniejszy, konflikty między ministrami mniej wybuchowe, sprawniej zapadają decyzje. Na razie niewiele z tego wynika, jako że faktyczny dorobek rządu z minionych sześciu miesięcy jest raczej skromny. Zapowiadana przy okazji nominacji poprawa wizerunku Polski, a może i kompromis z Komisją Europejską spełży na niczym. Mówiący obcymi językami i dobrze wykształcony premier nie wskórał więcej niż Beata Szydło. Zresztą broniąc ostatnio w Parlamencie Europejskim skoku PiS na Sąd Najwyższy, i to z użyciem bałamutnych argumentów zaczerpniętych wprost z krajowych propagandowych narracji, sam wtopił się w pisowskie tło.

W gospodarce szef rządu głównie dopinał własne inicjatywy legislacyjne, które przygotował jeszcze jako wicepremier. Została więc uchwalona Konstytucja dla Biznesu oraz ujrzał światło dzienne projekt ustawy o pracowniczych planach kapitałowych (właśnie zakończył się konsultacje społeczne). Pilotowanej przez Gowina i popieranej przez premiera Konstytucji dla Nauki już nie udało się ocalić w autorskim kształcie.

Jeśli chodzi o nowe inicjatywy, to poza propagandową rozdetą „piątką Morawieckiego” trudno cokolwiek istotnego wskazać. Premier zdecydowanie woli roztaczać wielkie wizje na wiele kadencji naprzód, z reguły podparte historycznymi analogiami. Teraz odgrywa tę rolę Centralny Port Lotniczy, używany najczęściej do zastawiania sceptycznej opozycji jej brakiem ambicji oraz rozbudzania patriotycznej dumy, że Polak też może. I ma tę zaletę, że w najbliższych wyborach będzie za wcześniej na weryfikację obietnicy.

Tymczasem w gospodarce realnej już nie jest tak różowo jak do tej pory. Choć wzrost gospodarczy wciąż się utrzymuje, symptomy nadchodzącego spowolnienia stają się coraz wyraźniejsze. I wobec nadal niskiego poziomu inwestycji odporność naszej gospodarki na zmianę cyklu koniunkturalnego (o wielkim zafamaniu nawet nie wspominając) wydaje się problematyczna. Od premiera należałoby więc oczekiwać nie kolejnych wizji, lecz wreszcie konkretów. Tylko że musiałyby się wtedy bardziej odsłonić.

W co gra premier?

Bo jeśli przyjrzymy się całej drodze Morawieckiego – od błyskotliwej kariery bankowca po równie błyskotliwą karierę polityczną – zobaczymy, że wszystkie sukcesy osiągał, stosując głęboki kamuflaż. Niczym bohaterowie „Zniewolonego umysłu” Miłosza obecny premier na każdym etapie praktykował Ketman. Tak niegdyś ponoć określano w restrykcyjnych społecznościami muzułmańskich „grę uprawianą w obronie własnych myśli i uczuć”, polegającą na ich ukrywaniu, zacieraniu prawdziwej tożsamości, kluczeniu.

Nie chodzi wszakże o oportunistę. Ketman dla praktykującego stanowił powód do dumy. To chytre przyczajenie się, wejście w nie swoją rolę celem osłabienia czujności hegemonu i wykorzystania jego nieuwagi. Aby ostatecznie postawić na swoim.

Mając więc przed oczami obecnego Morawieckiego – piewę modelu rozwojowego opartego na narodowych zasobach, wroga obcego kapitału i pogromcę neoliberalnych dogmatów – można przypuszczać, iż dawny Morawiecki, bankowiec i doradca Tuska, prowadził własną grę wychodzącą poza adaptacyjny oportunistę. Był niby typowym przedstawicielem finansowych elit. W apogeum globalnego kryzysu finansowego ►